№ 22.

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
*Rej z Nagłowic.*

**ROK 1846.** Poznań, dnia 2. Listopada.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów* **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Zachodzi pytanie, jakim sposobem można się uskarzać, że nędza dzisiaj jest tak wielką, kiedy wyrobnik pracowity może sobie tyle w ciągu roku zarobić, ile przed dwustu laty właściciel dobréj wsi nie miał rocznego dochodu. Choć wartość pieniędzy spadła, ale téż zniżyły się ceny tych wszystkich potrzeb, co nie należą do żywności i pomieszkania, azatém różnica nie wielka. Wszakże dawniéj pełno było ludzi prawie za nic pełniących służbę w naszych obowiązkach; mocniejszy zmuszał słabszego do pracy, przywłaszczał sobie jego zarobek, i skądże można przypuszczać, że wtenczas ludzkość była lepiéj zabezpieczoną przeciw nędzy jak teraz? W obecnych czasach moralność daleko większa i powszechniejsza: nie masz tortur: ustają zabójstwa, bicia słabszego przez mocniejszego, zabierania gwałtowne własności, rzadsza sprzedajność. To wszystko prawda. Świat niewątpliwie ma więcéj moralności, więcéj uczuć, więcéj oświaty, ale przecież wątpieniu nie podpada, że więcéj w nim panuje nędzy.

Przy rozwięzywaniu tych pytań wszystkie odpowiedzi dadzą się podobno zebrać w jednę, a mianowicie w tę: dawniéj więcéj było egoizmu, lecz przez nadużycie; dzisiaj jest go mniéj, ale stał się zasadą społeczności; dawniéj starano się egoizm wytępić, dzisiaj chodzi ciągle o to, żeby go rozkrzewić. Weźmy wszystkie państwa, stany, stowarzyszenia, bractwa średniowieczne, na czele tych instytucyi stała rada lub jaka władza, choć tylko w jednéj osobie, która urządzała tak stosunek osób, aby każdy mógł żyć. Wszystkie stowarzyszenia tworzono zawsze jako wspólne dla bogatych i ubogich. Mistrzowi tego lub owego rzemiosła, nie było wolno chować więcéj jak trzech czeladzi i dwóch uczniów; tym sposobem mogło się wielu utrzymać mistrzów, miał czeladnik zapewnione zatrudnienie, urządzano ilość roboty stósownie do potrzeby. Prawda, że to ścieśniało doskonalenie rzemiosła, zawięzywało ręce zdatności, powstały więc krzyki przeciw cechom i bractwom, rozwiązano je, zniesiono.

Dopokąd atoli były cechy, tak długo między rzemieślnikami uczciwymi, pracowitymi nie było nędzy. Ponieważ zaś cechy wstrzymują rozwój, przeto były szkodliwe przemysłowi. Cechy więc oczywiście pod jednym względem pożyteczne, a pod drugim szkodliwe. Trzeba je zatém i zatrzymać i znieść: a że wpół zatrzymać i wpół znieść jest to samo co zmienić, więc powinny były być utrzymane, ale w innéj postaci. Szkodliwością było to, że cechy nie szanowały należycie zdatności i wyższości jednego człowieka, że jéj nie używały na korzyść ogółu, całéj ludzkości. Trzeba im zatém tę szkodliwość odebrać. To co się tu rozumie o jednym cechu, trzeba powiedzieć o wszystkich. Zorganizowane wszystkie rzemiosła w cechy, nie powinny znowu zostawiać walki pomiędzy niemi, ale utworzyć szersze towarzystwo, któreby było rękodzielném. Równie jak wydział rękodzielny potrzebowałby organizacyi rozumowéj wydział rólniczy, za tym możeby szedł handlowy, oświaty i t. d.

Dzisiaj bez zorganizowania towarzystw zarobkowych, ścigają się wszyscy ludzie pojedyńczo do zarobku; kto odbiera najwięcéj zarobku drugim, ten jest najlepszym, najtęższym w swoim zawodzie. Występuje jeden z nowym pomysłem, i szczyci się, że nikt

już z nim spółubiegać się nie potrafi; właściwie może o tém nie wie, ale przechwala się z tego, że swoich kolegów potrafi chleba pozbawić, o głód przyprawić. Pomimo to wszystko: osobiście ten człowiek może być moralny, zacny, szlachetny, najlepszego serca. Mamyż tu więc wyraźnie, że dziś nawet u człowieka nieegoisty; dążenia nawet dobre biorą kierunek egoistyczny. Otóż jest to choroba wieku naszego.

Nie wszyscy ludzie mają zdolność z urodzenia, nie wszyscy sposób do ukształcenia zdolności, bo nauka jest dziś jeszcze kupna, jest towarem. Bogatemu tylko a nie ubogiemu stoją do niéj drzwi otworem. Ludzie więc zdolniejsi, ludzie, których rodzice mogli kupować naukę dla dzieci, w tém całém ściganiu się egoizmu prześcigują ludzi małych zdolności, ludzi zaniedbańszego wychowania. Gdyby niewykształceni stali tylko nieco gorzéj, mniejszaby było o to, ale oni wpadają w nędzę, w głód, ich dzieci zawcześnie wymierać muszą, sami się w chorobach poratować nie mogą, i schodzą z ziemi o wiele lat za rychło. Oczywiście, jest massa ludzi tak nieusposobionych, iż choć pracują, nie umieją prowadzić pracy i z niéj zarobku, aby o swoich potrzebach i o sobie radzić należycie mogli. Massa zatém ludzi potrzebuje opieki. Jednego poddać drugiemu pod opiekę, byłoby bez celu. W towarzystwie atoli może być każdy prowadzony podług jego zdolności. Towarzystwo bardzo wielkie z wielu tysięcy i kroci składające się, może mieć przepisy obchodzenia się z pijakami, próżniakami, marnotrawcami, iżby nie potrzebowali łachmanami i brudami szpecić ziemi, szaleństwami wzniecać kłótni i zwad, marnotrawstwem przywoływać do siebie nędzy; życiem w rozmaity sposób zabijać się zbyt wcześnie. Zgoła zdaje się, że cały ratunek dzisiajszy jest tylko w stowarzyszeniach, które muszą każdego pojedyńczego w kluby ująć. Nie masz wątpliwości, że przy tém ucierpi swoboda. Mnóstwo dziś jest ludzi na świecie, którzy będąc moralnymi, rzetelnymi, a żyjąc w krajach, gdzie rządy wysoko cenią wolność, spędzają dni prawdziwie roskoszne, w swobodzie i szczęściu, jakie tylko na ziemi osięgnąć może. Atoli ludzkości, narodom, stowarzyszeniom nie o to ma chodzić, aby pewna mała liczba miała wielką swobodę, lecz aby wielka liczba nie gnuśniała w nędzy, nie była igrzyskiem nieszczęścia. Zgoła ludzkość nie może się pytać o żadną drobną uprzywilejowaną klassę, ale o tłumy. Wybornie jest dzisiaj być budowniczym, który na swój rachunek tysiąc ludzi zatrudnia, lecz jeżeli jeden budowniczy dla tego we wszystko obfituje, że tysiąc jego wyrobników w nędzy, natenczas lepiéjby było budowniczego wprawić w nędzę, a podnieść byt tych tysiąc, bo wtedy nędza byłaby tysiąc razy mniejsza. Zdaje się atoli, że są drogi, na których i budowniczy może pozostać w stosunku jakim jest i drugich podnieść można. Mamy my dzisiaj i stowarzyszenia, ale nie są to takie, do których ludzkość wzdychać musi; dziś stowarzyszenia są tylko małéj liczby mocnych, przeciw wielkiéj liczbie słabych; zgoła są same stowarzyszenia kapitału, naprzeciw stowarzyszeniom pracy. Ile to jest stowarzyszeń żelaznych kolei, ale w nich sami bankierowie, kupcy, posiadacze dóbr, domów po wielkich miastach. Stowarzyszenia żelaznych kolei teby były dobre, coby miały w swém gronie tych, co dają pieniądze, co robią machiny, co piłują drzewa, co tłuką kamienie, bogatych i biednych, a z których dobry byt każdego, byłby w interesie całego stowarzyszenia. Nie o stowarzyszenia zarobku, ale o stowarzyszenia moralne chodzić powinno.

---

## Krzyż nadwiślański.

Powieść *Leona K.....*

---

*(Dokończenie.)*

P. Gregórz powiódł okiem po komnacie, a gdy wzrok jego zatrzymał się na łożu, to zadrżał jakby mimowolnie — lecz wkrótce wychodząc z chwilowego pomięszania, postąpił parę kroków i odezwał się do Stanisława:

— Panie Linowski . . . . pan Kazimierz wysyła mnie do pana. . . . .

— Pan Kazimierz? . . . . dobrze . . . . pan zapewne jesteś uwiadomiony o tém, co zaszło między nami. . . . . Mnie tylko idzie o pospiech, bobym nie chciał ani jednéj chwili dłużéj tu pozostać — wszak pojedynek może się odbyć zaraz?

— Panie Linowski.... czy pan rozważyłeś wszystko.... czy pomyślałeś jakie nieszczęście sprowadzić może?....

— Mój panie — przerwał Stanisław — czy Kazimierz Jastrzębski przysłał pana z takiemi uwagami?

— O nie! ale do mnie należy jako do krewnego i przyjaciela domu Jastrzębskiego zwrócić uwagę twoją Panie Linowski, że nie powinienbyś się bić z człowiekiem, który cię był jak brata pokochał, — że to okropnie jest pogrążyć całą rodzinę w żałobie.

— To wszystko nie zmieni mego postanowienia — całą noc dzisiejszą przepędziłem w tym pokoju —

przy tém łożu, na którém jeszcze ślady krwi mojego ojca — (p. Grzegórz się wzdrygnął) nie dziw się pan więc, że moje serce nie ze wszystkiém usposobione do przebaczenia, i że w mą duszę wstąpiła cała nienawiść przeciw zabójcy.

— Ale panie Linowski — zawołał starzec prawie błagalnym głosem — przysięgam ci, że się mylisz okropnie — Jestrzębski nie winien zbrodni, o którą go posądzasz.

— Masz pan na to dowody?

— Dowody — wyrzekł cichym głosem p. Grzegórz i wlepił oczy w podłogę; Stanisław tupnął nogą z niecierpliwością.

— Wszak pan tu przyszedłeś oznaczyć warunki pojedynku, nieprawda? ja gotów jestem natychmiast, o miejsce mniejsza, ale jeśli Kazimierzowi wszystko jedno, to pojedynek może się odbyć pod Czarnym krzyżem — przynieście panowie ze sobą pistolety — staniemy o pięć kroków — bo jeden z nas musi zostać koniecznie.

— Panie Linowski, to będzie morderstwo!....

— Morderstwo!.... czy pan Kazimierz oznaczył inne warunki?....

Linowski obrócił się ku oknu, dając poznać Grzegorzowi, że nie ma więcéj nic do powiedzenia. — Starzec jednak nie odchodził.

— Panie Linowski, mam jeszcze coś do pana — wyrzekł po chwili.

— Co takiego?

— Parę słów .... od panny Maryi.

— Od Maryi.... więc ona wie także?

— Nie można było ukryć przed kobietami. — Biedna matka i panna Marya są w rozpaczy — od wczoraj pilnują Kazimierza i nie pozwalają mu na krok opuścić pokoju. — Panna Marya ze łzami oddała mi tę kartkę.

Stanisław porwał ukochane pismo — wyrazy które skreśliła młoda dziewica, musiały być bardzo wzruszające, bo w miarę, jak je przebiegał oczami, twarz jego przybierała wyraz tkliwszy, łagodniejszy. — Łzy stanęły w jego oczach, a papier wypadł mu z ręki.

— Pan płaczesz — zawołał Grzegórz, korzystając z tego wzruszenia — a cóż dopiero, gdybyś widział rozpacz téj matki, łzy téj biednéj panny Maryi — o! serce się rozdziera patrząc na to wszystko.

Stanisław już zdawał się wahać — postąpił parę kroków ku Grzzgorzowi — w tém krok jego zatrzymał się na łożu — późniéj utkwił na portrecie kasztelana, i ten widok spędził wszelką łagodność, a uzbroił go nową mocą, gdyż po chwili wyrzekł stanowczym spokojnym głosem:

— Powiedz pan Kazimierzowi, że za godzinę czekam u Czarnego krzyża.

Pan Grzegórz w milczeniu, z głową spuszczoną, zabierał się do wyjścia, we drzwiach zatrzymał się jednak.

— A pannie Maryi co mam powiedzieć — zapytał, próg przestępując.

Stanisław załamał ręce:

— Pannie Maryi powiedz pan.... że ja chcę.... umrzeć!....

## V.

Przeklęta ognista broń, kto mieczem zabija
Musi składać się natrzeć, odbija, wywija,
Może rozbroić wroga, miecz wpół drogi wstrzymać,
Ale ta broń ognista dosyć zamek imać.
Chwila jedna iskierka....

*Pan Tadeusz.*

W pół godziny potém Stanisław był na drodze do Czarnego krzyża, który obrał na miejsce spotkania. Mgła ranna rzedniała nad rzeką i nad ciemnemi zaroślami, co śród piasków żółtych, szeroko zaległy jéj brzegi. Młodzieniec tą razą nie oglądał się koło siebie, lecz przyspieszonym krokiem dążył na miejsce mającego się odbyć pojedynku, na pół drogi kiedy właśnie miał się skręcać ku rzece, ujrzał tuż przed sobą starego Jastrzębskiego, który trzymając broń w ręku, z twarzą spokojną choć pobladłą, zdawał się oczekiwać na niego.

— Nie pana.... spodziewałem się zastać w tém miejscu — zawołał Linowski zdziwiony.

— Wiesz o tem — lecz syn mój nie przyjdzie — bo w téj chwili jest on zamknięty w swoim pokoju z mego polecenia — będzie daleko słuszniéj, że ja go zastąpię, bo zresztą ta cała sprawa mnie samego tylko się dotycze. — Nieprawdaż panie Linowski? — Wszak do mego syna nie masz osobistego powodu nienawiści — przyczyną wszystkiemu jest zabójstwo popełnione na twoim ojcu w tych miejscach, ktore mnie przypisujesz — ze mną więc będziesz miał do czynienia — tembardziéj, że ja z méj strony mam także prawo żądać zadosyćuczynienia od ciebie — za potwarz okropną, którą rzucasz na mnie — syn mój jest jeszcze młody, ma być kiedyś podporą rodziny — nie może tak bez celu wystawiać swojego życia. — Jakże — przystajesz pan?

— Chodźmy — zawołał Stanisław, a twarz jego prawie obłąkana przybrała odcień chwilowéj radości, na samą myśl tę, że bić się będzie z człowiekiem, którego uważał za zabójcę swego ojca. — Czarny krzyż obrałem na miejsce pojedynku? — rzekł po

chwili. Jastrzębski kiwnął głową na znak przyzwolenia i oba postępowali obok siebie w milczeniu, w twarzy młodzieńca malował się zamęt myśli i walka najsprzeczniejszych uczuć; u starca pokój był wyryty na czole i postanowienie mocne, niezachwiane. Ta surowa spokojność starca dziwne na młodym Linowskim robiła wrażenie, po raz pierwszy powątpiewanie wkradło się do iego duszy, a z nim myśl ta, że go pozór i wieści fałszywe mylić mogą. Lecz właśnie kończyła się drożyna i krzyż już wyraźnie wyglądał śród brzóz płaczących. Kiedy wyszli z zarośli, Stanisław ujrzał pod krzyżem kobietę, co siedziała z twarzą w dłoniach ukrytą, a przy niéj młoda dziewica klęczała z oczami w niebo wzniesionémi z wyrazem nadziei i wiary.

— Marya tutaj! — zawołał Stanisław poznając dziewicę — ach! to umyślnie przygotowane, aby przeszkodzić pojedynkowi — dodał, obracając się do Jastrzębskiego.

— Wszak pan sam obrałeś to miejsce — odpowiedział starzec. Stanisław załamal ręce i oparł się o brzozę.

Tymczasem Marya rzuciła się w objęcia ojca, spostrzegła broń w jego ręku i krzyknęła boleśnie:

— Panie Linowski — zawołała, zwracając się do młodzieńca — pamiętasz, co wyrzekłeś mi — obiecałeś wszystko puścić w niepamięć — gdzie są dziś twoje obietnice?

— Panie Linowski wyrzekła matka wzruszonym głosem — co panu zawinił syn mój? co panu zawiniliśmy wszyscy — i wyciągała ku niemu ręce. Łza z oczu młodzieńca spadła na rękę staruszka.

— O płaczesz — twoje serce jest dobre, kiedy się wzruszyło na łzy biednéj matki.

Stanisław patrzał tylko na Maryą. Z jéj oczu łzawych, co się zwracały ku niemu, przebijało się najwyższe cierpienie, usta na w pół otwarte skłaniały się do prośby. Stanisław nie był w stanie oprzeć się tym łzom kobiecym.

— Chcę o wszytkiém zapomnieć.... oddalam się.... przysięgam, nie wrócę nigdy w te strony, gdziem cierpiał tyle — gdziem zranił serca osób, które kocham tyle — dodał cichszym głosem patrząc w twarz Maryi. Rzucił jéj jakby ostatnie pożągnalne spojrzenie i mial już się oddalić, lecz w téj chwili Kazimierz biegnąc w stronę Czarnego krzyża, wołał z daleka na niego:

— Zaczekaj.... zatrzymaj się cokolwiek — spóźniłem się trochę, ale ci służę natychmiast.

— Kazimierzu! — zawołał stary Jastrzębski — żabroniłem ci wychodzić z pokoju.

— Mój ojcze — sprawa ta jest tego rodzaju, że pierwszy raz musiałem zapomnieć o posłuszeństwie synowskiém, drzwi były zamknięte, wyskoczyłem oknem, aby przybiedz tutaj. — Lecz co tu robi matka i Marynia — zawołał, postrzegając kobiety — kto miał serce powiedzieć im....

— Dowiedziałyśmy się od pana Grzegorza — wyrzekła Marynia.

— Nierozumiem jakie powody mógł mieć Grzegórz, powiadając wam o tém — z jego przyczyny — mówił Kazimierz, zbliżając się do Linowskiego — pojedynek zaraz odbyć się nie może, lecz....

— Pojedynku między nami — przerwał Stanisław — wcale nie będzie — przyrzekłem zapomnieć o wszystkiém.... przebaczyć.

— Nie przyjmujemy przebaczenia — wkrótce, dodał cichym głosem — odprowadzę kobiety — spodziewam się, że cię tu zastanę.

Stanisław jakby złamany boleścią, stał nieruchomy pod drzewem. W téj chwili nowa osoba zjawiła się niespodzianie. Był to pan Grzegorz z włosami w nieładzie, bez czapki, tak blady, zmieniony, że wszyscy zatrzymali się z podziwieniem na jego widok.

— Na miłość Boską wstrzymajcie się, słuchajcie.... wołał starzec, załamując ręce. Wstrzymał się. Znać z trudnością przychodziło mu mówić.... — Panie Linowski — rzekł po chwili, stojąc przed młodzieńcem — najniesłuszniéj obwiniasz tego człowieka o zbrodnią, któréj nie popełnił — na Boga ci przysięgam, on jéj nie winien. — Zabójcą jestem ja — i jakby do wyznania tego wyczerpał wszystkie siły, spuścił głowę na piersi i przestał mówić na chwilę, wkrótce zdobył się znów na słowa, urywając często opowiadanie swoje.

— Ciężko mi zrobić to wyznanie, lecz potrzebne ono dla spokojności dwóch rodzin. — Bóg mnie już i tak srogo karał za to nieumyślne zabójstwo, bo niebo mi świadkiem, nie chciałem go popełnić..... Ośmnaście lat temu mieszkałem obok Wierzbnéj z Jastrzębskim — pan kasztelan traktował z góry nas obu, ale nigdy przecież myśl zemsty nie powstała w mém sercu, choć cierpiałem na tém, ile razy Linowski nie szanował praw i własności. — Nadszedł wreszcie ów nieszczęśliwy dzień polowania.... widziałem kasztelana wychodzącego z pałacu.... bom sam był niedaleko ze strzelbą, widziałem jak szedł na tę tu łąkę, którą niedawno właśnie przysądzono Jastrzębskiemu.... chciałem się przekonać, czy kasztelan ze zwyczajną sobie zuchwałością, ośmieli się polować na gruncie, który do niego nie należał, i postępowałem za nim zdaleka .... w tém zając zerwał mu się prawie pod nogami.... kasztelan wziął na strzał, mnie przyszła do głowy myśl

nieszczęśliwa, żeby mu zwierzynę ubić pod strzałem, strzelba była nabita loftkami . . . . zmierzyłem.... piekło kierowało moim strzałem . . . . usłyszałem krzyk — kasztelan leżał już zabity — pobiegłem do niego . . . . nie żył — com wtedy robił, nie wiem — pamiętam tylko, żem się w nocy dostał do domu, rzucił na łoże i parę dni leżał w gorączce. — Jastrzębski przyszedł do mnie, opowiadał jak będąc nad rzeką usłyszał strzał i zastał kasztelana zabitego. — Ja nie miałem mocy wyznać mu prawdy — w okolicy wiedziano, że miałem trochę żalu do kasztelana, możeby nikt nie był uwierzył, że zabójstwo było mimowolne. — Lecz i tak ciężko ukarany byłem, pokój duszy i myśl spokojna zniknęły dla mnie, później cierpiałem tém bardziéj, gdy z mojéj przyczyny człowiek godny, ojciec rodziny potwarzą obrzucony został.

Starzec kończył ze łzami w oczach — po chwili kląkł i głowę zniżył do kamienia grobowego, jakby chciał błagać o przebaczenie tego, który tu zginął.

Stanisław Linowski z najrozmaitszém wzruszeniem słuchał tego opowiądania, a gdy starzec już skończył, i wszyscy pogrążyli się w dumaniu, on ukląkł przed starym Jastrzębskim.

— Teraz ja — zawołał — przebaczenia błagam.

— Biedny Stanisławie, z serca ci przebaczam — tyś cierpiał tyle — miałem boleść nad tobą wtedy nawet, kiedyś nastawał na moje życie.

Kazimierz rzucił mu się przyjacielsko w objęcia — a Marya podawała mu rękę, którą on pochwycił z niebiańską radością. — I na twarzach wszystkich, cierpieniem niedawno okrytych, zabłysło szczęście i zapomnienie wszystkiego — tylko Grzegórz został sam przy krzyżu smutny i ponury.

W miesiąc po tém nadszedł dzień 29. Listopada. — Stanisław Linowski od Maryi, którą nazywał już nanarzeczoną, Kazimierz od rodziców, którym był podporą, pobiegli w szeregi narodowe; oba walczyli razem, dzieląc trudy wspólne.

W walce pod Ostrołęką, co była najkrwawszą sceną bolesnego dramatu, obaj młodzieńcy walczyli z rozpaczą na czele małego oddziału — piechota moskiewska parła ze wszystkich stron. — Stanisław, który już ranę w tym dniu odebrał, rzucił się naprzód, chcąc podnieść zwątlałą odwagę, i piersi jego napotkały bagnety nieprzyjacielskie, w tém stary jakiś wiarus porwał jego konia i w bok odciągnął, własnych piersi nadstawiając. Kiedy oddział polski przyszedł na odsiecz, wiarus upadł przeszyty kilku pchnięciami. Stanisław rzucił się ratować swego wybawcę, i schyliwszy się ku jego twarzy, poznał w umierającym Grzegorza.

* * *

W pięknym wiosennym poranku zieleniły się powiślańskie brzegi — i szumiały topole jak dawniéj nowém pokryte liściem, i Wisła płynęła cicha, spokojna, a nie znać na niéj było krwi, co niedawno zczerwieniła jéj wody, i nie widać było trupów, które niedawno przyjęła w swoje łono — wszystko było jak przed tém — a jednak czegoś smutniéj, rzewniéj, jakby powietrze było cięższe . . . . nie swoje.

Przed domem w Wierzbnie siedział Stanisław blady zmieniony, od ran które poniósł — do niego się tuli Marya, pieści i szczebioce.

— Moj Stasiu, mój drogi — wszak ci lepiéj? — wyzdrowiejesz i będziemy szczęśliwi — nieprawda?

— O! życie z tobą byłoby mi rajem — mówił Stanisław — gdyby mogło być zupełne szczęście w domu, kiedy go nie ma w Ojczyźnie.

---

## Jana Chrzciciela Seja

### *niektóre spostrzeżenia nad ludźmi i społeczeństwem.*

*(Ciąg dalszy.)*

Kiedy moraliści badając serce ludzkie, robią smutne odkrycia, nie jeden gniewa się za to na nich, jak gdyby w tém była jaka ich wina. Gdyby fizyologiści, opisując skład ciała, zakrywali nam słabości rozmaitych jego części, cóżbyśmy na tém zyskali? Potrafiliżbyśmy unikać chorób, albo je leczyć?

---

Nie lubię już teraz jak dawniéj opisów dalekich podróży. Są to archiwa nieszczęsnych przygód, zaświadczające jak najwyraźniéj, że człowiek z przyrodzenia jest nieszczery. Zawsze z nieufnością przybywa podróżnik pomiędzy nieznanych sobie ludzi, i prawie zawsze z nieufnością bywa przez nich przyjmowany. Wielkie to już szczęście, jeżeli zaraz na wstępie obejdzie się bez bójki. Nastąpi-li między nimi przyjaźń, aliżci pod pozorem téj przyjaźni trzeba się zaraz nawzajem oszukiwać; a tak następują kłótnie, bitwy i rozlew krwi. Na wielką pochwałę cywilizacyi można z pewnością wyrzec, że im lud w jakim kraju jest mniéj gruby i nieokrzesany, tém podróże są tam mniéj niebezpieczne; a nigdzie nie ma podróżnik większego bezpieczeństwa, jak wśród narodów już ucy-

wilizowanych do pewnego stopnia, t. j. tych, u których obok wolności kwitnie przemysł i pokój; ale ileż to jest takich narodów?....

---

Wielu moralistów prawi nam: „Tłumcie wasze namiętności.“ Ależ namiętności stłumić nie można. Na cóż się więc zdadzą te próżne morały? Zamiast chcieć ludzi całkiém przekształcić, weźcie ich raczéj jak ich natura stworzyła, i z takich utworzcie lepsze społeczeństwo. „To nie podobna“ odpowiecie mi. — Nim wynaleziono balony, mówiono także: niepodobieństwem jest, aby człowiek mógł się unosić w powietrzu.

Głupia to moralność, co się chce sprzeciwiać naturze człowieka. Prawdziwy téż mędrzec podług niéj nie postępuje. Bóg dał człowiekowi niczém niepokonaną próżność; jest to prawda moralna, jak potrzeba oddychania powietrzem jest prawdą fizyczną; wygładzić jéj z serca ludzkiego nikt nie potrafi. Jeżeli moraliści pokuszą się ją uskramiać i niszczyć, objawi się ona nawet w surowém życiu mnicha. Jeżeli zaś tak ją skierują, że człowiek dopełni łacniéj ciężących na sobie obowiązków względem swéj familii i społeczeństwa, że nie przedsięweźmie żadnéj czynnności nieużytecznéj, że będzie ściśle dotrzymywał swoich zobowiązań, że swój wydatek będzie miarkował dochodem, że polubi ochędóstwo i mieszkaniu swojemu nada miły dla oka widok, jakże wielką usługę wyświadczą krajowi. Otóż to taka prawdziwa umiejętność moralna. Proszę mi teraz powiedzieć: jak daleko już w niéj postąpiliśmy?

---

Możnaby powiedzieć, że małpa stworzona jest na poniżenie człowieka i na ostrzeganie go ciągle, że pomiędzy nim a zwierzętami są tylko pewne odcienia.

Nic bardziéj nie obraża ludzi pospolitych, jak nieszanowanie jakiego zwyczaju. Co za zbrodnia, w saméj rzeczy, nie szanować tego, co oni szanują! To im zbyt mocno czuć daje, albo że sami przez się myśleć nie umieją, albo, jeźli umieją, że nie mają dosyć odwagi tak działać jak myślą. Jest to wyrzucać im w oczy ich niedołęztwo, a to rzecz nie do darowania.

---

Usiłowano niedawno we Francyi założyć nową religią. Tego rodzaju przedsięwzięciom klimat nasz nie sprzyja; one się najlepiej udają w okolicach międzymorza Suez: politeizm wziął początek nad brzegami Nilu, a islamizm w Mekce.

---

Łudzić się, jest to tak sobie wystawiać rzeczy, jak je widzieć chcemy. Długo mniemałem, że wielki talent jest zawsze połączony z wielkim charakterem; życzyłem sobie, aby to tak było, i to mi się tak zdawało. Jednak widziałem pierwszego rzędu uczonych we wszystkich gałęziach umiejętności, wielkich mistrzów w sztukach, wielkich znawców w przedmiotach pięknych nauk, nie mających dość siły stawić oporu złemu; co mowię? owszem, widziałem w nich najgorliwszych popieraczów złego, chciwców nieczułych a nawet okrutnych, i pomału zaczęły mnie złudzenia opuszczać. Mimo to, ludzkość ma swoją dobrą stronę.

---

Artysta malarz, artysta chemik, artysta snycerz, i wszelki inny artysta pod pewnym względem, to wszystko jedno; wszyscy mogą się mieć za poczciwych ludzi, i każdy w swoim zawodzie może pracować dla tego, kto mu zapłaci. Alboż to może być ich winą, iż szczęśliwe prac ich utwory, w najlepszéj dokonane myśli, na zły cel użyte zostaną? Sposób robienia saletry jest ważném, i będzie na wieki użyteczném odkryciem. Ten, co go wynalazł, mógłże przeszkodzić, aby nie posłużył do zabijania biednego ludu, umierającego z głodu? Kto inny zrobił za pieniądze posąg tyrana; to przykro i pomyśleć; ależ dla niego główną rzeczą było wykonać dzieło sztuki, i wykonał je wytwornie. Nie tak się rzecz ma co do pisarzy; ci, bez zaprzedania swego sumienia, nie mogą służyć tyranii. Jeżeli jéj służą, muszą przeciw własnemu przekonaniu wystawiać fałsz za prawdę, chwalić co mają w obrzydzeniu, a zniesławiać talenta i czyny, dla których im rozum nakazuje mieć szacunek.

---

Mierność ma to do siebie — i to podobno najwydatniejsze jéj znamie — że nie chce widzieć i uznać wyższości wszędzie, gdzie ona jest widoczną.

---

Jest pewien związek pomiędzy ludźmi wyższych zdolności i usposobień. Nic łatwiejszego dla nich, jak zrozumieć się od razu. Te same przedmioty, chociaż o nich z sobą nie rozmawiali, nasuwają im te same myśli i uwagi; widzimy to w wielu dziełach i pamiętnikach. Czasem nawet i wprzód nim się poznali, niektóre okoliczności ich życia mają z sobą coś stycznego. Ludzie mierni nie wnijdą nigdy do tego związku, chociażby ich kto niewiem jak chciał nakłaniać. Oni tego nie pojmują, i uważają to za marzenia, za nic.

---

Bardzo mało ludzi jest zdolnych dać dobrą radę, a jeszcze mniéj zdolnych ją przyjąć.

---

Obłuda stanowi wyjątek od innych przywar ludzkich, które się zwykle dają zmiękczyć żalowi i odsłaniają z prawdziwą skruchą. Obłudnik żałuje tylko chyba tego, że nie dosyć dobrze odegrał swą rolę, że nie był doskonałym obłudnikiem.

---

Można się zahartować przeciw niesprawiedliwości ludzkiéj, zupełnie tak jak przeciw zimnu. Ale zimno zbyt wielkie przyprawia o śmierć.

---

Nie należy pogardzać najpospolitszemi prawdami. Znałem człowieka, który miał odwagę powtórzyć wobec władzcy wielu królów, te dwa wiersze poczciwego Lafontena:

Notre ennemi c'est notre maitre;
Je vous le dis en bon français.

Napoleon przyjął je z pogardą i rzekł: „Już więcéj jak tysiąc razy powiedziano to samo od początku świata.“ Czemuż to jednak przypisać należy, jeżeli nie zbyt wielkiemu lekceważeniu jego, téj oklepanéj jak ją nazwał prawdy, iż musiał ze smutku umierać na kończynach świata? Nie pojmował on tego, że powiększając liczbę swych poddanych — nawet i wówczas, kiedy ich skronie uwieńczał koroną — powiększał tylko liczbę swych nieprzyjacioł. Jakże odmiennie postępował Washington, który poświęcając się sprawie wolności swoich współziomków, powiększał tém samém liczbę swoich przyjacioł!....

---

Ludzie zwykli mieć upodobanie w tém lub owém zwierzęciu. Jedni lubią konie, drudzy psy, inni ptaki, i tym podobnie. Nie pomnę kto zauważył, że lubiący ptaki, tchną czysta filantropią. To spostrzeżenie może się wydawać żartem na pierwszy rzut myśli; ale kiedy je wiele przykładów z doświadczenia stwierdza, musi ono mieć pewną podstawę.

Obserwując ludzi i ich różne charaktery, widzimy takich, co mają jedyne upodobanie w przewodzeniu i panowaniu nad innymi. Chcą oni, aby inni stósowali się we wszystkiém do ich widzimisię, a nienawidzą stawiających im opór i pragnących tylko zachować swoję niepodległość. Tym sposobem zostają w wojnie prawie z całą ludzkością, bo mało kto chce się wyrzec praw swoich.

Tacy ludzie są to podług mnie prawdziwi mizantropi, nieprzyjaciele rodu ludzkiego; bo nadawać nazwisko mizantropa takim charakterom, jak Alcest w komedyach Moliera, t. j. prostym odludkom, ktorzy nie lubią wprawdzie ludzi, ale im źle nie czynią, i tylko od nich stronią, jest krzywdzącą niewłaściwością.

Teraz zastanówmy się, czy człowiek mający skłonność do panowania nad innymi, nie musi lubić psa, zwierze podłe i używające swoich zdolności jedynie na usługi pana; zwierze poddające się chętnie kaprysom i liżące równie niesprawiedliwą jak dobroczynną rękę? — Z drugiéj strony: człowiek lubiący niepodległość musi polubić kota, stworzenie umiejące być niepodległém i czuć wyrządzoną sobie krzywdę, a szkodliwe tylko kiedy mu głód dokuczy.

Naturalista Biufon wyrzuca kotu: że lubi wygody, szuka miękich sprzętów do spania na nich, ależ to samo robią ludzie; że na pieszczoty o tyle tylko czuły, o ile mu te robią przyjemność, ależ to samo robią ludzie; że nie lubi przymusu, ależ to samo ludzie przymusu nie lubią.

Kto więc lubi koty, musi być przyjacielem ludzi.

*(Ciąg dalszy nastąpi.)*

---

# ROZMAITOŚCI.

Przed składami sztuk pięknych we Florencyi znajduje się obraz wywieszony, przed któren cisną się tłumy ciekawych. Wystawia ten obraz rzymskie więzienie, w którém siedzi uwięziony człowiek z długą brodą, jest to jeden ze skazanych wyrokiem powstańców z roku 1831., która liczba znajduje się na zdrzuzgotanéj chorągwi, leżącéj u stóp więźnia. Promień słońca przedziera się tymczasem do sklepień ciemnych, a ręka wyciągniona przez drzwi otwarte podaje mu gałązkę oliwną, kajdany opadają z nóg więźnia, wzrok nadziei nieszczęśliwego pada na słońce, wolność zapowiadające, które nazwisko Piusa IX. opromienia. — Obraz ten pod względem sztuki nie ma wielkiéj wartości, ale chętnie się oko tłumu nad nim bawi, a z poruszeń nieustannych ludu wyczytujemy gorący współudział z więźniem jęczącym w kajdanach, i błogosławiący wyswobadzającą rękę.

— Według doświadczeń pewnego uczonego francuzkiego, chodzą mieszkańcy Strazburga, Bazylei i wielu innych miast nad Renem po złocie, gdyż kamienie, któremi ulice wybrukowano w tych miastach, zawierają złoto.

— Przed kilku laty znaleźli chłopcy nad jeziorem Winnipiscog młodego niedźwiedzia i przyprowadzili go do wsi ze sobą, gdzie po niejakim czasie został towarzyszem igrającéj młodzieży, a nawet chodził z dziećmi

do szkoły. Pobawiwszy kilka miesięcy w tak dobraném towarzystwie, powrócił nareszcie do boru i po kilku latach zupełnie o nim zapomniano. Nauczyciel umarł, a żona jego trudniła się nauką młodzieży. Podczas głebokiéj zimy i wielkich śniegów, siedziała młodzież szkolna wraz z swoją nauczycielką w izbie, gdy nagle wchodzi ogromny niedźwiedź, i siada sobie jak dawny znajomy poufale przy ogniu. Dzieci wszystkie sypnęły się do staréj nauczycielki, która także w ostatni kącik się schroniła i w przestrachu zgubiła okulary z nosa, bo sądziła, że ostatnia dla nich wybiła godzina. Niedźwiedź tymczasem grzał się wygodnie przy ogniu, a dzieci ze starą krzyczały co gardła bezustannie, lecz że dom stał daleko od drugich, przeto nikt nie przybywał na pomoc przerażonym. Kiedy się nareszcie niedźwiedź ogrzał, wstał na tylne łapy, pozdejmował czapki i kieszenie pozawieszane na ścianach, a pamięć jego nie zawiodła, bo znalazł w nich śniadania dzieci. A zjadłszy im chleb, ser, mięso, jabłka i t. d., wyprzątnął nadto śpiżarnię pani nauczycielowéj i wyszedł sobie drzwiami na Boży świat między góry. Dopiero gdy dzieci ze strachu opłonęły, przypomniały sobie, że to im tego figla dawny przyjaciel spłatał.

## MODY.

Paryż, dnia 20. Października 1846.

Najnowszą modą są negliże z lekkiego sukna, a podobają się szczególniéj szaraczkowe kazimierki, oszyte wązką jedwabną bórtą. Sukno kameleonowe jeszcze jest leksze, i dla tego lepiéj się jeszcze nosi. Równie merinosy wracają do mody, ale suknie z nich robią tylko negliżowe, na prędkie wzięcie ranne, lub na podróż. Kolor modny merinosów jest kapucyński. Dla nadania im cokolwiek większéj elegancyi, oszywają je z przodu małemi sutaszowemi bórtami w tym samym kolorze, równie jak stanik. Można też dodać guziczki, co przecie nie jest rzeczą konieczną.

Wszystkie suknie na pólstrój są mniéj więcéj wystrojone wyłogami lub ukosami, lub haftem sutaszowym, guzikami, pasamonami lub nawet gładko przyszytemi czarnemi koronkami. Nie widać sukien bez garnituru.

O płaszczach nic z pewnością powiedzieć nie można, ponieważ poczyniono próby we wszelkich rodzajach i nie wiadomo, czyli z nich która powszechnie spodoba się. Tymczasem chętnie noszą palletoty z kołnierzami i bez nich, sułtanki, pewien rodzaj obszernych wizytek, które na dole nie są okrągło cięte i mają pół długie rękawy.

Pasamony nadzwyczaj są w używaniu, i orzucają niemi suknie, mantylle, wizytki i płaszcze.

Najnowsze stroje głów i czepeczki, jakieśmy widzieli podczas otwarcia włoskiego teatru, na czółku suto garnirowane, koronki spadają na około i pięknie twarz otaczają.

Naramiennice są w tym roku daleko szersze, aniżeli w przeszłych latach; noszą je często z niebieskiéj lub różowéj emaliy z diamentami. Tak zwane dormeuse także są w modzie, są to kolczyki zupełnie okrągłe, z jednym kamieniem. Brosze, zaś robią w kształcie winogron. Na ranne ozdoby noszą wiele rzniętych klejnotów ze srebra, prawdziwie mistrzoskie dzieła nakształt robót Benwenuta Cellini.

Lubo jeszcze czas nie nadszedł do noszenia futer, jednak wiele z nich gotowych spoczywa w ukryciu. Nim pora do tego nadejdzie, oszywają szlafroczki pasamonami, sutą fręzlą i koronkami. Szczególniéj odznacza się nowy garnitur jedwabny, który tak jest połączony ze sobą, że wygląda zupełnie nakształt chinchilli. Widzieliśmy go naprzód na płaszczu aksamitnym.

Markizy atłasowe tworzą z przodu krótką mantyllę, a rękawy są razem z tkaniny kraiane.

Wizytki jeszcze noszą i podszywają je zazwyczaj białym atłasem. Z rana są one z sukna jedwabiem haftowanego lub z szarego kazimierku podobnie haftowanego; jeżeli są z atłasu, natenczas stroją je pasamonami, w kolorze rażącym. Czarne robią tylko z aksamitu.

Sans-gêne są obszerne opończe, z jedném ściąganiem w tyle i z fałdami zaszytemi, zapewne je futrem podszywać będą.

## Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz jedwabny krepą ozdobiony. Mantylla aksamitna. Suknia jedwabna.
2. Kapelusz krepowy, piorami strojny; szlafroczek kaszemirowy z falbanami. Szal kaszemirowy.
3. Szary kapelusz z pilśni. Frak o długiéj talii z krótkiemi połami. Kolorowy krawat.

Redaktor *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*